

ANDRZEJ SEPKOWSKI
Łódź

PAŃSTWO KRZYŻOWCÓW

Tak nazwał Stany Zjednoczone W. Mc Dougall tworząc metaforę, która raczej nie wytrzymuje konfrontacji z rzeczywistością, a jest co najmniej kontrowersyjna. Nie każdą postać ekspansjonizmu można tak nazwać. Autor ten utrzymuje jednak, że każda odsłona ekspansjonizmu czasu kolonialnego i państwowego miewała religijne legitymacje. Nie są to jednak racje do końca zasadne, albowiem niemal każda z wojen toczonych przez człowieka może być nazywana religijną, o ile uzurpuje się jej transcendentną konfirmację, co druga krzyżową, gdy pojawiają się argumenty obrony albo krzewienia wiary. Amerykańskie wojny bywały zwykle toczone w imię specyficznej dla Stanów Zjednoczonych „religii państwa”, ale to już coś całkiem innego niż religia bez przymiotników. Być może twórca metafory miał na uwadze to, że Amerykanie próbują nawracać wszystkich na swoją „wiarę”, przez co rozumieją swój system polityczny i gospodarczy, przekonani, że są one doskonałe, wyjątkowe, gwarantują dobrą władzę i prosperity wszystkim, którzy zechcą ich naśladować. „Amerykańska wiara” kolonialnych początków była wiarą w to, że oni, naród przymierza z Bogiem, są depozytariuszami prawdziwej wolności, równości i sprawiedliwości i ich obowiązkiem jest krzewienie tych wartości wszędzie, gdzie jest to możliwe. Tak rozumieli swoją misję założyciele kolonii mówiąc o „mieście na wzgórzu” i „latarni dla świata” i póki chcieli krzewić taką wiarę przykładem byli misjonistami, ale kiedy zaczęli używać ślepej siły stawali się krzyżowcami, a przynajmniej często mówili tak o sobie.

Kolonialna Ameryka dokonywała konkwisty inaczej niż działo się to na południu kontynentu. Hiszpanie posługiwali się argumentami wiary, by dokonywać klasycznego podboju, koloniści zaś także, choć nie zamierzali nikogo nawracać, zdecydowani na eksterminację. Już J. Winthrop, jeszcze na pokładzie „Arbelli”, pisał: „Odnaleźliśmy się jako dzieci Izraela, które zwyciężą tysiące nieprzyjaciół”¹. Takie przesłanie posłużyło później do odtwarzania długiej, pełnej trudów i walk drogi pokoleń Izraela do wymarzonego Kanaan, do kreacji idei przymierza z gniewnym, mściwym Bogiem Starego Testamentu. Biblijna wykładnia uprawniała zachowania Jozuego i Kaleba niszczących z pomocą Boga wrogie plemiona. Już pierwsza generacja kolonistów

¹ J. Winthrop's, *City Upon a Hill*, w: *The Making of America. The United States and the World*, ed. J. Miller, Vol.I: to 1865, Lexington 1993, s. 193.

uznała, że Indianie grodzą drogi do ziem na południu, północy, zachodzie i wtedy pojawiły się hasła wielkiej krucjaty przeciw czerwonoskórym w imię Boga. Znany kaznodzieja i pisarz polityczny C. Mather utrzymywał, że to diabeł osiedlił Indian w Ameryce i walka z nimi jest wielką wojną z Szatanem, a z wysłannikami Zła nie można paktować, trzeba ich zniszczyć, wypłenić do korzeni i będzie to zasługa wobec Boga. Tak traktowano ją przez dwa wieki aż do prawie całkowitego wyniszczenia pierwotnych mieszkańców z okrucieństwem ludzi prawdziwej wiary². Wojny z Indianami nabrały charakteru „świętych”, stały się częścią misji białego człowieka i takie przekonanie, a może już mit, towarzyszyło osadnikom od początków po J.F. Coopera i wielu twórców literatury popularnej, którzy zrytualizowali mityczne interpretacje stosunku białych do czerwonych³. W literaturze nie widać śladów dumy z tej żywiołowej, niemal pełnej eksterminacji tubylców. Skwapliwie zapomniano o masakrach Indian z 1647 czy 1676 r., a właściwie przemilczano je tak skutecznie, że w wykładach amerykańskiej „historii świętej” nie wspomina się o nich prawie wcale, przypominając jedynie późniejsze epizody z biografii kilku prezydentów, którzy, jak A. Jackson, zapisali się tym, co dziś pewnie nazwano by zbrodniami, a wtedy dodawało tylko liści do wieńca sławy. Te kilkusetletnie doświadczenia nie mogły nie pozostawić śladów w wyobrażeniach zbiorowych.

Ekspansjonizm XVIII i XIX w. był naturalną konsekwencją spontanicznej i kreowanej kolonizacji zachodu i południa, wymuszanej w znaczącej mierze milionami przybyszów zza oceanu, spragnionych ziemi i wolności. Legitymizowano go w różnoraki sposób, a legitymacja, która zapisała się tak mocno w historii Stanów Zjednoczonych były „manifesty przeznaczenia” wielu prezydentów, wspierane opiniami przedstawicieli elit intelektualnych. Jak przeciętni Amerykanie i oni uważali, że Zachód od Alleghenów do Pacyfiku jest najwspanialszym darem dla cywilizowanego człowieka – tak ujął to wiek później historyk J.F. Turner⁴. Ekspansywni, zdobywcy Amerykanie budzili zachwyty H. Melville’a. H.D. Thoreau z podziwem obserwował jak rozprzestrzeniają się oni po lądach i oceanach. Znakomity pisarz konfirmował tylko pokojowy ekspansjonizm i pozostał sobie wierny potępiając agresję na Meksyk w broszurze *O nieposłuszeństwie obywatelskim*, w której wprost wzywał do przeciwstawienia się administracji rządowej, przypominając prawo ludu do jej obalenia. Ale ani on, ani wielu przedstawicieli elit nie uważali za zasadne wzięcie w obronę eksterminowanych Indian.

Zdobycza gorączka, jaką czuli wszyscy Amerykanie, przekładała się na pełną, zwykle bezkrytyczną aprobatę działań ekspansywnego państwa – swoiste przedłużenie ekspansjonizmu obywatelskiego. Nic innego jak chęć zdobycia brytyjskiej Kanady przyświecało prezydentowi Jamesowi Madisonowi rozpoczynającemu wojnę z Wiel-

² W. La Feber, *The American Age. United States Foreign Policy at Home and Abroad since 1750*, New York 1989, s. 11.

³ R. Slotkin, *Regeneration Through Violence. The Mythology of American Frontier 1600-1860*, Wesleyan University 1973, s. 206.

⁴ A. Trachtenberg, *The Incorporation of America. Culture and Society in Gilded Age*, New York 1994, s. 11.

ką Brytanią w 1812 r. Podobne motywacje kierowały prezydentem Jamesem Monroe, twórcą głośnej „doktryny”, która była chyba tylko doktryną odstraszenia, bo – jak uważa badacz – „pomysł, żeby Stany w początkach wieku XIX mogły stworzyć strefę wpływów w Ameryce Południowej był absurdalny ze względu na słabość USA”⁵. Stany były słabe także w wojnie z Meksykiem, a warto przypomnieć, że w 1816 r. armia amerykańska liczyła zaledwie 16 tys. żołnierzy, w 1830 r. – 11 tys., a w 1869 r. – 26 tys. Były to liczby bardzo małe w porównaniu z armiami Europy⁶. Mimo słabości Stany zdołały pokonać sąsiada i to z pewnością nie była krucjata, a wojna o ziemię i ludzi. Usprawiedliwiano ją argumentami misji cywilizacyjnej, tak charakterystycznymi dla „moralnych ekstremistów” w tamtym czasie, ale także w naszym. Jeden z autorów uważał z całą powagą, że amerykańska „architektura idei wolności było odpowiednia dla idei wchłaniania sąsiednich narodów”⁷ i tego rodzaju argumenty są charakterystyczne dla „purytańskich dekadentów”, którym wciąż wydaje się, że wypełniają plany boskiego ekonoma. Pomijał architektów zniewolenia, takich jak senator J.C. Calhoun tworzący plany inkorporacji całego Meksyku albo kongresmana J.L. O’Sullivana, który wprost krzyczał: „Więcej i więcej aż nasze przeznaczenie się wypełni. Więcej aż cały kontynent zalsni w blasku wolności”⁸. Nie tylko kontynent, bo ekspansjonistyczni politycy eksplorowali inne kontynenty w czasie, w którym kolonizowano amerykański Dzikie Zachód. M. Fillmore, F. Pierce i J. Buchanan sięgali do Japonii, Chin, Angoli próbując mierzyć siły w rywalizacji kolonialnej.

Była to ledwie introdukcja do prawdziwej gorączki imperialnej końca XIX w., która przeminęła po doświadczeniach filipińskich, walkach z partyzantką Aquinaldo, tak bardzo rażących sumienie misyjnej Ameryki, ale dopiero po uświadomieniu sobie wielkości ofiary krwi. Tym, który dokonał odwrotu od prób włączenia się w rywalizację kolonialną był prezydent T. Roosevelt, uprzednio zwolennik stworzenia prawdziwego imperium. Zaledwie przez kilka lat kolonie były symbolem narodowej wielkości i prestiżu⁹. A gorączka była zauważalna, zdawało się, że jej pierwszą przyczyną jest nagłe zahamowanie ekspansjonizmu, który był historią Stanów. Odwołując się do wielkiej misji, przyszłej roli Ameryki, niektórzy powtarzali, jak np. niezmiennie imperialny A.T. Mahan, że tworzenie imperium jest wolą Boga i sprzeniewierzenie się Jego woli oznaczać może zerwanie przymierza, a kaznodziejski senator A.T. Beveridge dodawał, że mówiący po angielsku ludzie mają boską legitymację do tworzenia świata pokoju. Przygotowując się do wyjścia z ekspansją na zewnątrz powtarzano w prasie, przemówieniach, że kolonie są gwarancją ekonomicznego Eldorado, zbliżając się tym do „ekonomicznej utopii” – jak określił to niezbyt fortunnie wielki ekonomista¹⁰.

⁵ W.A. Mc Dougall, *Promised Land. The American Encounter with the World. Crusader State*, Boston 1997, s. 73.

⁶ P. Kennedy, *The Rise and Fall of the Great Powers*, New York 1989, s. 154.

⁷ F. Merk, *Manifest Destiny and Mission in American History*, New York 1966, s. 26.

⁸ J.M. McPherson, *Battle Cry of Freedom*, New York 1988, s. 311.

⁹ N. Rich, *The Age of Nationalism and Reform 1850-1890*, New York 1977, s. 73.

¹⁰ J. M. Keynes, *The Economic Consequences of Peace*, New York 1988, s. 10.

Ta gorączka minęła dość szybko i imperialne marzenia polityków przybierały tylko kształty wielkich wizji „imperium ducha”, dzielonych przez niemal wszystkich prezydentów od T. Roosevelta poczynając. Następcy dzielili jego wiarę emanującą z wielu przemówień, enuncjacji kierowanych do społeczeństwa prawdziwej wiary. „Wierzę – mówił na kilka lat przed objęciem urzędu – że możemy dominować w świecie, jak żaden naród nie dominował. To jest punkt zwrotny historii”¹¹. Swego czasu, w gorączce wojny z Hiszpanią marzył o „jakiejs małej wojnie, której ten kraj potrzebuje”, twierdził z przekonaniem, że kiedy naród, obawia się ekspansji jego wielkość zbliża się do końca¹². To przekonanie zwietrzało po wojnie hiszpańskiej i prezydent wracał ku idei „miasta na wzgórzu” prorokując wspaniałą przyszłość Ameryki ekspansywnej, ale gospodarczo i kulturowo. Otwierał wielką księgę możliwości nie przed sobą, ale następcami interpretującymi to po swojemu. Sam okazał się wodzem nie pierwszej i nie ostatniej krucjaty odnowy moralnej, walcząc zdecydowanie i ze sporymi sukcesami z relatywizmem *Gilded Age*. Za jego czasu mogło się zdawać, że znieprawienie „wieku pozłacanego” staje się przeszłością i to właśnie on jest znamię Nowego, personifikacją Progresywizmu niosącego ze sobą altruistycznego człowieka Dobrej Woli. Wydaje się, że to on inspirował ten niezwykły ferment w początku wieku, kiedy Ameryka znajdowała się na etapie między starymi ideami a nowym porządkiem, a V.L. Parrington widział początek tego fermentu w 1903 r.¹³ Pretendujący do wielkich ról naród musiał prezentować uprawniającą do tego jakość moralną.

Roosevelt nie zdołał osiągnąć wielu celów, zwłaszcza tych międzynarodowych, które i tak zdawały się dalekie, bo dzieło przebudowy Ameryki, o jakim zdawał się myśleć, wymagało wiele czasu i wysiłku. Nie wybuchała już następna „mała” wojna, która pomogłaby w mobilizacji sił Ameryki i zbudowaniu silnego aparatu państwowego złożonego z kompetentnych altruistów. Tak bojowy przed objęciem prezydentury Roosevelt wyraźnie stonował opinie, zauważając i iluzyjne korzyści z imperialnych zapędów i proponując, już jako laureat Pokojowej Nagrody Nobla, nowy „koncert potęg” z udziałem Stanów Zjednoczonych. Wobec Europejczyków deklarował, że Ameryka nie potrzebuje nowych terytoriów, choć zwracając się do Latynosów nie przestawał mówić o roli policjanta całej Ameryki, ale dodawał, że nie pogardzi nowymi rynkami zbytu. Właściwie to on stworzył koncepcję „dolarowej dyplomacji”, którą wyraźniej określił sekretarz stanu prezydenta Tafta P.C. Knox, choć było to tylko określenie starej praktyki, którą inaczej nazwie M.Huntington za prezydentury Wilsona proponując „zamianę kul na dolary”. Kupcy i przedsiębiorcy zwykle poprzedzali misjonarzy, a jeśli ich wspólne wysiłki nie przynosiły efektów, podówczas pojawiali się krzyżowcy.

Wyzwaniem dla przyrodzonego ekspansjonizmu stał się wybuch I wojny światowej. Stale definiująca się Ameryka zechciała określić się wobec świata¹⁴. Prezydent

¹¹ W. La Feber, *Inevitable Revolutions. The United States in Central America*, New York 1993, s. 40.

¹² R. Hofstadter, *The American Political Tradition and the Men who Made it*, New York 1976, s. 275.

¹³ V.L. Parrington, *Progressivism an Unexpected Twist w: American Social Thought. Sources and Interpretations*, Vol. II since the Civil War, ed. R. A. Skotheim, H. McGiffert, Reading Massachusetts 1972, s. 179.

¹⁴ J.D. Hunter, *Culture Wars. The Struggle to Define America*, New York 1990, s. 50.

Wilson odwoływał się do depozytariuszy wartości, twierdząc w ich imieniu: „Ameryka jest zdecydowana przelać swoją krew, oddać swoje siły za zasady, które dały jej życie, szczęście i pokój”¹⁵. Stany Zjednoczone traciły niewinność wchodząc do wojny na kontynencie – tak widział to P. Larkin¹⁶. Miał na myśli wejście w wiek męski, tożsamy z pełnym zaangażowaniem się w sprawy świata, ale nam zdaje się, że państwo traciło niewinność sprzeniewierając się sobie i to za przyzwoleniem prezydenta, który wzmacniał siły administracji, łamiąc wiele praw obywatelskich, prześladował swoich niemieckich obywateli, wsadzając do więzień tych, którzy ośmielili się protestować przeciw wojnie, w tym socjalistę E.V. Debsa. A wszystko to moralni ekstremiści czynili w imię wolności innych, w imię demokracji. Wtedy to pojawiły się apologie wojny, które już będą towarzyszyły żołnierzom amerykańskim po Irak, a na wszelkie sposoby rytualizowano idee narodowe, twierdzono, że wojna jest dla niego zdrowiem, że wzmacnia siłę rządu i patriotyzm, hamuje walkę klasową¹⁷. Ta wojna miała zakończyć wszystkie inne wojny, być ostatnią, a nader często nazywano ją krucjatą w imię wartości najwyższych i często z emfazą podobną do tej, jaka cechowała wezwania R. H. Kima wołającego: „To krucjata, największa w historii, najświętsza”¹⁸.

Pierwsza amerykańska krucjata w imię zrealizowanych wartości skończyła się przegraną wizjonerskiego Wilsona, ale jej echa wracały w czasie II wojny, a w jej początku Stany znalazły się w sytuacji tak podobnej do tej sprzed ponad dwudziestu lat. Misyjne argumenty przyszłych krzyżowców w imię ideałów doskonałej demokracji przypominały tamte, wzbogacone profecjami takimi, jak ta głośna H. Luce’a, który latem 1941 r. anonsował początek Amerykańskiego Wieku, inicjowanego przez najdzielniejszy i najbardziej witalny naród świata¹⁹. Ten naród miał się stać sędzią, rozjemcą, miał tworzyć wielkie zaczyny „imperium ducha”. Ten naród miał także prowadzić krucjatę, bo jej hasła przemawiały najmocniej do człowieka mitycznego. Zdawali sobie z tego sprawę urzędnicy Biura ds. Informacji Wojennej (*Office of War Information*), którzy sugerowali dziennikarzom, że ta wojna powinna być prezentowana jak światowa krucjata Ameryki²⁰. Ta krucjata była prowadzona w imię obrony cywilizacji, co wyraźnie precyzował Roosevelt, a jeszcze wyraźniej wiceprezydent H. Wallace, mówiący, że ta wojna nie jest narodowa, klasowa ani rasowa, a jest walką o demokratyzację świata opartą na czterech wolnościach²¹. Obywatele przyjęli takie manifestacje wiary godząc się na ofiarę wojny, nie znając tła, które mogłoby skruszyć ich wiarę. Wojna znakomicie służyła przemysłowcom, np. szef *General Electric* Ch. Wilson był zadowolony ze współpracy wojennej i sugerował konieczność dalszego

¹⁵ W.A. Mc Dougall, *Promised Land...*, s. 136.

¹⁶ P. Fussell, *Introduction*, w: *Modern War*, ed. P. Fussell, New York 1991, s. 29.

¹⁷ H. Zinn, *A People's History of the United States. 1492 – Present*, New York 1999, s. 359.

¹⁸ S.E. Ahlstrom, *A Religious History of American People*, New Haven 1992, s. 882.

¹⁹ L.S. Wittner, *Cold War America*, New York 1978, s. 6.

²⁰ C.R. Koppes, G.D. Black, *What to Show the World*, w: *Hollywood's America. United States History through the Film*, ed. S. Mintz, R. Roberts, New York 1993, s. 156.

²¹ C.R. Koppes, G. D. Black, *What to Show the World*, w: *Hollywood's America*, s. 156.

alianisu biznesu z armią także po skończeniu wojny²². Politycy używający misyjnych hasel także nie mieli wątpliwości co do charakteru wojny, choć ich szczere wyznania nie mogły trafiać do opinii publicznej. H. Truman przekonywał do swojego „realizmu politycznego”, mówiąc w ostatniej fazie wojny: „Możemy pomóc Rosji, a jeśli Rosja będzie wygrywała, pomoc Niemcom, chociaż nie chcę widzieć zwycięskiego Hitlera pod żadnymi warunkami”²³.

Marzenia Ch. Wilsona spełniły się, w czasie zimnej wojny doszło do sprzężenia konglomeratu wojskowo przemysłowego z establishmentem politycznym i ta nowa jakość wzmacniała ten „naturalny” ekspansjonizm Stanów Zjednoczonych. Dla polityków, w tym dla prezydenta Eisenhowera taka koniunkcja była „nowym doświadczeniem”²⁴. Obywatele zaś nie chcieli tego zauważać i nie wydaje się, by takie argumenty, ostrzeżenia trafiały do nich w czasie, kiedy przeżywali nową falę prosperity, stykali się z nowymi postaciami konsumpcjonizmu. W konfrontacji z głodną Europą Ameryka stawała się wyspą prawdziwego dobrobytu, znowu stawała się latarnią dla świata i mogła z dumą głosić, że demokracja i kapitalizm to rozwiązania najdoskonalsze, które trzeba propagować, a nawet wymuszać w imię dobra tych, którzy jeszcze nie dostrzegają ich wartości. Syci i szczęśliwi obywatele godzili się na ograniczenia stykając się z retoryką narodowego bezpieczeństwa, w której najsilniej brzmiały argumenty obrony demokracji i rudymenarnych praw, jakie są zagrożone jak nigdy w historii wolnego narodu.

W tych kilku dziesięcioleciach defensywy misjonistyczne, krzyżowe akcenty brzmiały jakby słabiej i chcemy przyjrzeć się bliżej naturze krzyżowców już po „jesieni ludów”, kiedy USA musiały oswajać się z rolą niekwestionowanego hegemonu, przyzwyczajone do wojennej retoryki i nowej postaci misyjności w czasach Reagana. Ale w początkach prezydentury Busha seniora pojawiło się poczucie, że Stany są regentem, który musi wziąć na siebie odpowiedzialność za stabilność świata. Pojawiały się opinie, że świadomość tego, iż stały się dominatorem nie trafiała do obywateli, co nas raczej nie przekonuje, jeśli zważymy, że misjonizm stał się niekwestionowanym dogmatem „amerykańskiej wiary”, zakorzenił się tak głęboko w wyobrażeniach zbiorowych, że wytarcie albo wyparcie go nie wydaje się możliwe nawet w czasie życia kilku pokoleń. Opinie, że Amerykanie sądzili, iż wydarzenia na świecie nie mają wpływu na ich życie, wydają się nieprawdziwe²⁵. Nawet wtedy, kiedy tego nie chcieli świat przychodził do nich ze swoimi tragediami, katastrofami. Od tego nie można było uciec, a – jak zauważał Trocki – każdy, kto chciał wieść spokojne życie źle zrobił rodząc się w XX w. Amerykanie mieli swoje wizje świata i kreatywnej roli swojego państwa, mieli wiarę w to, że są „latarnią dla świata”, że stworzenie tego „imperium ducha” będącego odbiciem amerykanizmu jest możliwe, a nawet konieczne. Nie

²² H. Zinn, *A People's History...*, s. 425.

²³ W. La Feber, *The American Age...*, s. 378.

²⁴ M. Jezer, *The Dark Ages. Life in the United States 1945-1960*, Boston 1982, s. 17.

²⁵ H. Johnson, *The Best of Times*, New York 2002, s. 4.

zmieniło się także przekonanie, że są narzędziem transcendencji, że na wielkiej scenie świata wciąż grają role pisane przez Opatrzność²⁶.

W tym nowym świecie prezydent potwierdzał starą prawdę misjonistów, że dobro można czynić także złem i taką prawdę weryfikowano w czasie kryzysu kuwejckiego, który był przecież wynikiem niezdecydowania, prezentystycznego paraliżu hegemonia nieradzącego sobie z nową rolą. Amerykanie poprzestawali przez czas jakiś na celebrowaniu zwycięstwa Zachodu i jego tradycyjnych wartości, zdając się zawierać teoretykom takim, jak F. Fukuyama. Nie nastąpił koniec historii, a Saddam ośmielony bezruchem hegemonia, nie zaczął pisać nowej. On tylko wykorzystywał próżnię i chaos produkowane przez najsilniejszego i sporo racji miał L. Galba z „New York Times”, który wprost napisał: „Nikt nie uczynił więcej dla siły i legitymizacji Saddama niż Reagan i Bush”²⁷.

Nim jeszcze politycy podjęli jakieś wiążące decyzje, to już animowani przez część establishmentu ludzie mediów zaczęli bić w wojenne bębny, a zapewne przyświecał im zamiar przetestowania nowych broni, ale także cel, jakim było zmuszenie do samookreślenia innych, znaczących podmiotów polityki światowej. Zapewne myśleli także o takiej wojnie, która zatrze w pamięci zbiorowej wietnamski syndrom. A kiedy już podjęto decyzje o wojnie, zaczęto prowadzić ją według receptury C. Powella, który powtarzał: „Musimy mieć pewność wygranej, musimy dokładnie określić cele militarne i polityczne”²⁸. Amerykanie obserwowali tę wojnę na ekranach telewizorów i szybka, łatwa wygrana wprowadziła ich w prawdziwą euforię i wszyscy chcieli celebrować zwycięstwo nad tą repliką Hitlera. Bush cieszył się wtedy 91% poparciem i komentatorzy stwierdzali, że nie powinien być na nowo wybierany, ale intronizowany²⁹. W Kuwejcie Stany dowiodły światu, że są niekwestionowanym hegemonem, że potrafią pełnić misję, ale na czas niezbyt długi. Rozpoczęte w misjonistycznym zapale humanitarne interwencje z użyciem sił zbrojnych w Somalii, Rwandzie, na Haiti zakończyły się wstydliwymi niepowodzeniami, tłumaczonymi na wiele sposobów, ale ani media, ani opinia publiczna nie podawały w wątpliwość decyzji polityków. Społeczna wiara w misję nie mogła zostać zdestruowana tak błahymi potknięciami, a przecież załamanie wiary w misję państwa byłoby także stratą części wiary w siebie. Te porażki znaczyły jednak wiele i, jak zauważał obserwator, skutecznie zniechęciły USA do interwencji tam, gdzie nie były zagrożone ich interesy gospodarcze³⁰. Jugosłowiański wyjątek tylko potwierdzał tę regułę, choć ta następna wojna bez fizycznego kontaktu ze słabym przeciwnikiem raczej nie jest dobrym przykładem wyjątku. Było to jednak następne potwierdzenie misji i zarazem słabości Europy, pretekstem do tego, co kontrowersyjny R. Kagan nazwał samotną wędrówką Guliwera przez krainę Lilipu-

²⁶ J. Haynes, *Religion in Global Politics*, London 1998, s. 22.

²⁷ J. J. Mearsheimer, *Disorder Restored*, w: *Rethinking America's Security. Beyond Cold War to New World Order*, ed. G. Allison, G.F. Trevco-ton, New York 1992, s. 213.

²⁸ M. Boot, *Savage Wars of Peace. Small Wars and the Rise of American Power*, New York 2002, s. 319

²⁹ T.J. Lowi, B. Ginsberg, *American Government. Freedom and Power*, New York 1998, s. 373.

³⁰ R. S. Litwak, *Rogue States and the United States Foreign Policy*, Baltimore 2000, s. 31.

tu. Kagan zdawał się jednak zapominać o tym, że u J. Swifta Guliwer został pokonany przez Liliputów.

Uprzednio zwycięzca wycofał się z Afganistanu, a istnienie tego państwa upadłego rodziło nowe problemy, zagrożenia. Pośród dawnych sprzymierzeńców rodziła się wrogość. Amerykanie, mierząc innych swoimi miarami, nie rozumieli dlaczego nie spotykają się z wyrazami wdzięczności. Przecież przyniesiono Afgańczykom wolność, demokratyczne wartości i na tym poprzestano mniemając, że jest to wielkie dobro³¹. Nie pytano o to, czy rozumieją tak samo wolność i inne filary demokracji, czy rozumieją samą demokrację. To nie zdumiewa po tylu doświadczeniach z Ameryką Łacińską. Niedawni sprzymierzeńcy w walce z „imperium zła” poczuli się opuszczeni, porzuceni przez potężnego sojusznika. W ich oczach to Stany były winne temu, co zaczęło dziać się po wyjściu Rosjan. Pozostawieni samym sobie, poszukujący swojej tożsamości, poczęli poszukiwać dróg wyjścia i odnaleźli je w islamie. Kapitalizm był dla nich nieosiągalny, socjalizm zdewaluował się zupełnie i tę lukę wypełnił islam³². Religia znowu stała się wymiarem kultury o wiele bogatszym w przesłania niż jeszcze parę dekad temu, jej soteriologia znowu zaczęła być potrzebna³³. W niej zaczęto sytuować nadzieje biednych i poniżanych, nierozumiejących zmian i nieradzących sobie w zglobalizowanym świecie. Misjonizm amerykański miał z pewnością wpływ na ukonstytuowanie się swoistej opozycji – misjonizmu arabskiego, który miał zderzyć się z amerykańskim, oferując wizję świata biedaków. Na misję pełną akcentów właściwych krzyżowcom część świata arabskiego odpowiedziała Dżihadem – spoiwem, które okazało się tak mocne, zwłaszcza dla tych, którzy nie są beneficjentami globalizacji.

Wydaje się, że właśnie wtedy Amerykanie mogli stworzyć wielkie projekty nowego ładu politycznego i ekonomicznego. Takie projekty, które mogłyby posłużyć stworzeniu nowej homeostazy świata, bogatych zostawić bogatymi, ale biednych uczynić nieco bogatszymi. Stany nie poszły tropami wskazywanymi niegdyś przez Klub Rzymski i pozostało po staremu, „opinia publiczna krajów północy pozostała nieczuła na niebezpieczeństwa globalne”³⁴, na groźby, że te niebezpieczeństwa mogą dotknąć także ich. Wydaje się, że w takim czasie obywatele zrozumieliby konieczności przeznaczenia sporych kwot na transformację globalną. Amerykanie są „materialistyczni”, zwykle wpierv patrzą na swoje korzyści, ale z pewnością nie można odmówić im altruizmu, tym bardziej że mogłyby to być fundusze wojskowe. Wydaje się, że wtedy można było pójść śladami Nowego Międzynarodowego Ładu Ekonomicznego, narzucić światu rozwiązania wtedy, kiedy było to możliwe, a tymczasem hegemon okazał się inertny, niekonsekwentny, niepotrafiący nawet zainicjować zmian w stosunku do ekologii, co widać było po późniejszym stosunku do implementacji protokołów z Kio-

³¹ D. Kellner, *From 9/11 to Terror War*, New York 2003, s. 35.

³² Z. Brzezinski, *Out of Control. Global Turmoil on the Eve of the 21 st. Century*, New York 1993, s. 159.

³³ N.J. Demerath, *Crossing the God. World Religions and Wordly Politics*, London 2001, s. 172.

³⁴ F. Major, *Memory of the Future*, Paris 1995, s. 108.

to. Rację mają autorzy powiadający, że „odpowiedzialność za ekologię świata Stany skrywają za okazjonalną retoryką bez konkretnych działań”³⁵.

Taką opinię można chyba przenieść na wszystkie sfery życia. Wręcz konieczność opracowania takich nowych, holistycznych spojrzeń na sprawy świata wymuszały zjawiska, które rozpoznawano z niejaką ostrożnością, poszukując w nich dobrych i złych stron. Globalny wolny rynek, który udało się Amerykanom stworzyć widziano wtedy „jak propozycję uniwersalnej cywilizacji, a Stany Zjednoczone są jedynym krajem, który dąży do realizacji tej oświeceniowej koncepcji”³⁶. Pojawił się swoisty ikonoklazm globalizacji, a jej prawdziwe szanse i zagrożenia zaczęto dostrzegać dopiero wtedy, gdy pojawiły się pierwsze kryzysy inspirowane nią, a ona sama zaczęła limitować system. Stawała się mitem, nowym mitem końca wieku³⁷. Globalizacyjna misja towarzyszyła misji czysto politycznej, przy czym nietrudno zauważyć, że Amerykanom zabrakło geointelektualizmu i zaczęli orientować się na rozwiązania z pozoru najprostsze. Zamiast poszukiwań nowych postaci misji opartych na szerokiej podstawie międzynarodowej Stany uwierzyły w zbawienie Zachodu przez siłę militarną zbliżając się ku postawie właściwej krzyżowcom. Hegemon dowiódł światu, że stać go na wiele, ale także wykazywał ambiwalencję moralną, potępiając reżimy wojskowe Azji Środkowej i zakładając tam bazy wojskowe.

Ameryka przełomu wieków pozostawała niekonsekwentna w tych próbach samookreślenia i w takim czasie wszystko zmieniło się wraz z niepojętym atakiem na wieże WTC. Po 11 września staliśmy się jak wszyscy – zauważał H. Johnson mając może na myśli to, że wreszcie Ameryka przestała być samotną wyspą, a być może to, że sama doświadczyła okropności wojny, cierpienia niedaleko od domu, ale w samym sercu kraju³⁸. Tego dnia, ci którzy uzurpowali sobie prawo zniszczenia Szatana postawili Amerykę i świat przed nowymi i niezrozumiałymi wyzwaniem. One jednak nie powinny być niezrozumiałe ani zaskakujące dla wielu agend wywiadowczych, a także dla tych, którzy zajmują się predykcją polityczną. Stany Zjednoczone mogły spodziewać się takiego ataku po tylu wcześniejszych próbach i przestrożach. Wpierw wizję małego Armageddonu stworzył T. Clancy w powieści *Suma wszystkich strachów*, antycypując zagrożenia o wiele straszniejsze niż ten atak, bo w jego wizji arabscy terroryści eksplodują „brudny” ładunek nuklearny na stadionie w Oklahoma City i konsekwencje takiego ataku są kilkadziesiąt razy straszliwsze niż ataki z 11 września. Można zrozumieć pominięcie milczeniem projekcji ze współczynnikiem *licentia poetica*, ale wkrótce potem administracja Busha, Kongres i prasa zignorowały zapowiadający podobny atak raport *Road Map for National Security*³⁹. Nie wiemy jak wyglądały rzeczywiste powody takiej ignorancji, ale wydaje się, że nie bez znaczenia pozostawała tu wiara w potęgę Ameryki i w to, że pozostaje pod opieką boską, choć ta-

³⁵ H. Kane, L. Starke, *Time for Change*, Washington 1992, s. 8.

³⁶ J. Gray, *False Dawn. The Delusion of Global Capitalism*, London 1988, s. 100.

³⁷ A. Muhammadi, *International Connections and Globalization*, London 1997, s. 5.

³⁸ H. Johnson, *The Best of Times...*, s. 564.

³⁹ D. Kellner, *From 9/11 to terror War*, s. 13.

kie sądy mogą wydać się naiwne w naszym czasie. Nie wydają się jednak takimi wielu autorom podkreślającym, że to właśnie w naszym czasie potrzeby religijne, potrzeby transcendencji, czy zwykłej wiary są coraz większe⁴⁰.

To swoiste natężenie strachów po zamachach przyniosło erupcję mieszaniny strachu, determinacji i patriotyzmu. Prezydent natychmiast ogłosił totalną wojnę z terroryzmem. Obserwatorzy zauważają, że niezbyt fortunnie zaczął mówić o „krucjacie” przeciw wszystkim siłom zła zagrażającym Stanom. Taka deklaracja nie była niefortunna, ona jawi się jako naturalna konsekwencja misyjnego przywódcy, które odkrył, że najskuteczniejsza forma walki o dobro, to walka przy pomocy narzędzi zła. Ona nie zraziła Amerykanów przekonujących się znów do tego, że ich dobre intencje nie zostały zrozumiane przez niewdzięczników. Prasa z „Newsweekiem” na czele znowu zaczęła pisać o tej niezrozumiałej nienawiści do Stanów, sugerując jednoznacznie, że powinny odpowiedzieć złem na zło. Wpierw zbudowano dookoła Ameryki te „linie Maginota”⁴¹, a potem wojowniczy prezydent zaczął mówić o uwolnieniu świata od zbrodniczych reżimów wspierających terroryzm⁴². Taką reakcję wyobrażali sobie wyznawcy „amerykańskiej wiary”. W rozumieniu Amerykanów rozpoczynała się prawdziwa krucjata, choć trudno powiedzieć w imię czego. Zaakceptowali ją ucząc się żyć w strachu – zauważał Huntington⁴³, choć zapewne miał na uwadze specyficzny strach przed nieznany, bo lista amerykańskich strachów jest długa.

Pierwszym, naturalnym wrogiem stał się reżim talibów w Afganistanie. Jego związki z Al-Kaidą zdawały się niewątpliwe, naturalne pragnienie zemsty Amerykanów ogromne i ze społecznym przyzwoleniem Stany Zjednoczone uderzyły na kraj, którego nie udało się podporządkować ani Anglikom, ani Rosjanom. W wielu przypadkach Amerykanie stanęli przeciw niedawnym sojusznikom i amerykańskim samolotom i śmigłowcom zagroziły ich *Stingery*. Niedawna niekonsekwencja wobec tego kraju zaowocowała następną wojną telewizyjną i pragnienie zemsty zostało w połowie zaspokojone dość szybko, ale wygrane bitwy nie zakończyły się wygraną wojną i ustanowieniem nowego ładu w kraju, choć to powinno stać się pierwszym celem. Produkcją chaos Amerykanie stworzyli następne państwo upadłe, które stało się rozsądnikiem zagrożeń asymetrycznych. Chęć pokonania wroga, osiągnięcie Osamy ben Ladena zdawały się dominować nad celami politycznymi. Niestety – zauważał autor jednej z prac – musimy uczyć się myśleć długoterminowo i mieć szerokie wizje⁴⁴.

Doświadczenia afgańskie winny stać się swoistą lekcją, a tymczasem nie stały się taką dla krzyżowców w czasie, w którym problem afgański nie został rozwiązany nawet w połowie. Mimo tego, oskarżając irackiego dyktatora o posiadanie broni chemicznej i biologicznej, postanowiono uderzyć na niego pod pretekstem prewencji. Te oskarżenia prezentowały się jak jeszcze jedno poświadczenie sytuacjonizmu

⁴⁰ S. Hook, *The Quest of Being*, New York 1991, s. 98.

⁴¹ E.F. Kahlmen, *The Real Online Terrorist Threat*, „Foreign Affairs” nr 5, 2006, s. 115.

⁴² T.J. Ismael, *The Iraqi Predicament*, London 2004, s. 74

⁴³ S.P. Huntington, *Who are We?*, New York 2004, s. 337.

⁴⁴ T. Ball, R. Dagger, *Ideals and Ideologies*, New York 2002, s. 405.

moralnych ekstremistów, bo przecież Stany Zjednoczone angażowały się w około 100 programach produkcji broni biologicznej i chemicznej, do czego przyznają się niechętnie⁴⁵. Ale opinia, nie tylko amerykańska, ale i światowa odpowiedziała pełną aprobatą, a przynajmniej takie wrażenie sprawiały przekazy medialne, bo spora część środowisk intelektualnych była przeciwna drugiej wojnie o Irak⁴⁶. Takie głosy nikły jednak w zgodnym chórze zwolenników pokonania Saddama i dla nich takie zwycięstwo miało mieć znaczący wpływ na sytuację w całym regionie, w tym na wyjaśnienie sprawy afgańskiej. Przekonanych miała wspomagać prasa i telewizja, a na promowanie tej wojny Amerykańskie Biuro ds. Globalnej Komunikacji stworzone przez Białą Dom miało przeznaczyć 200 mln dolarów⁴⁷. Tworzono wrażenie jedności i zgody narodowej wobec nowego wyzwania i nie tylko „przeciętni” obywatele, ale i elity intelektualne zdały się przyjąć argumenty prezydenta z dobrą wiarą, choć w tym przypadku nie była to nawet misja w imię demokracji. Sam krok wojenny od początku zdawał się bezcelowy, bo kroki dominatora prezentowały się co najmniej jak nieprzemyślane. „Po zajęciu Iraku zapanował horror – zauważał obserwator – wszystko znalazło się poza kontrolą. Nie zadbano o armię ani policję”⁴⁸. Rzecz jasna chodziło tu o armię i policję Saddama, które mogły skutecznie wspomóc pacyfikację kraju.

W zapale swojej krucjaty, niepomni doświadczeń afgańskich, Amerykanie zniszczyli dwie siły, które niemal zawsze są pomocne potencjalnym okupantom, a taki zamiar przyświecał tym, którzy rzekomo zamyślali o stworzeniu demokracji irackiej. Sama wojna miała być wielką wyprawą sprawiedliwych i jej przebieg falsyfikowano na sposoby iście amerykańskie. Jeden z korespondentów wojennych wprost pisał o swoich doświadczeniach z tej wojny, a mówiono mu: „Możesz pisać [o Iraku], co chcesz, ale jeżeli nie to, co my chcemy, zastrzelimy cię”⁴⁹. Wojna w imię demokracji stawała się spektaklem medialnym, a głównymi w nim aktorami byli prezydent i jego administracja. Spektakl czasami mroził krew w żyłach, ale widzowie mieli wszelkie powody do uzasadnionej dumy. Wróg został rzucony na kolana z niewielką pomocą europejskich przyjaciół, którzy podtrzymywali wrażenie, że Amerykanie czynią to w imieniu całego białego świata. Ale po daremnych próbach znalezienia broni masowego rażenia pojawiły się zasadne podejrzenia o to, jak wyglądają prawdziwe motywy Stanów, czy Saddam rzeczywiście był prawdziwym zagrożeniem⁵⁰. Nadto, niepokorni dziennikarze zauważali, że same Stany Zjednoczone są zagrożeniem równym irackiemu, jeżeli w laboratoriach wojskowych prowadzi się prace nad programami produk-

⁴⁵ P. Philips, *Media Democracy in Action. Censored 2004*, New York 2003, s. 43.

⁴⁶ H. Turner, J. Palmer, *Media at War. The Iraq Crisis*, London 2004, s. 86.

⁴⁷ L. Miller, *War is Sell*, w: *Tell me Lies. Propaganda and Media Distortion in the Attac on Iraq*, ed. D. Miller, London 2004, s. 45.

⁴⁸ B. Katovsky, T. Carlson, *Embedded. The Media at War In Iraq. An Oral History*, Guilford 2003, s. 61.

⁴⁹ P. Knightley, *History or Bunkum*, w: *Tell me Lies...*, s. 100.

⁵⁰ T. i J. Ismael, *The Iraqi Predicament...*, s. 87.

cji broni biologicznej i chemicznej⁵¹. Ci sami dziennikarze poczęli podejrzewać, że państwo działa w imieniu wielkich korporacji mających jakieś swoje cele, ale mimo że żyjemy w dobie globalnej komunikacji, wiemy o tym tak niewiele, że próbując odpowiadać na niektóre z tych pytań będziemy tylko mnożyć teorie spiskowe. Poszukując przesłanek do w miarę racjonalnych sądów możemy tylko zauważać, że w miarę eskalacji wojny słabły hasła misjonistyczne.

Pytania o amerykańskie, prawdziwe intencje nie przestaną być długo aktualne, a one stają się coraz mniej czytelne w tej wojnie wszystkich ze wszystkimi. Eskalacja napięć inspirowała opinie strategów, że jedynym wyjściem jest zaangażowanie w nią coraz większej liczby żołnierzy. Ponad stutysięczny kontyngent nie potrafił nawet spacyfikować interioru irackiego. *Iraq Study Group* z J. Bakerem na czele postulował zwiększenie go o dalsze 50 tys. ludzi. Przypominają się argumenty generała Westmorelanda z czasu Wietnamu. W tym samym czasie opinia amerykańska dowiadywała się o rosnącej liczbie zabitych. Tylko w październiku 2006 r. zginęło ponad stu amerykańskich żołnierzy i w pamięci zbiorowej pojawiał się „wietnamski syndrom”. A pamiętajmy i o tym, że ów syndrom to także wyzwolenie się spod wpływu propagandy.

Wydaje się, że przyznanie się do następnej klęski w czasie, w którym inne kraje „kręgu zła” manifestują pogardę wobec hegemonu, może być tożsame z koniecznością porzucenia przez Stany Zjednoczone misyjności w jej kultywowanej od wieków postaci. Taka konieczność mogłaby oznaczać podważenie wielu mitów założycielskich, a w efekcie rosnącą przepaść między społecznością a jej reprezentantami. Być może Amerykanie wykorzystają jakiś pretekst, by wycofać się z Iraku, ale ze swoistej logiki krzyżowego misjonizmu będą wynikały następne kroki, a takimi mogą być interwencje zbrojne w innych regionach świata, które pomogą zatrzeć „iracki syndrom”. Plany prezydenta Busha, by rozszerzać i rozbudowywać podstawy stałej dominacji Stanów w świecie stały się mrzonkami. Manifest Destiny Busha przerósł możliwości kraju i jego samego, a mityzowana wolność niesiona innym narodom przeradzała się w zniewolenie.

Przyszłość w polityce jest z pewnością nieprzewidywalna, tam zwłaszcza, gdzie decydują czynniki jakościowe. Nie brak dla niej czarnych scenariuszy, wieszczów naglego załamania, tak charakterystycznych przy końcu wieku. Nie spełniła się katastroficzna wizja brytyjskich autorów, którzy wieścili załamanie gospodarcze i idące za tym wewnętrzne perturbacje z zamieszkami prowadzącymi do takiego stopnia chaosu, że zaprzysiężenie nowego prezydenta, zresztą religijnego maniaka, musiało odbyć się w podziemiach Pentagonu – jedynym bezpiecznym miejscu w całym kraju. W tej wizji Stany Zjednoczone początku nowego milenium to kraj chronicznego bezrobocia, biedy, endemicznej przemocy, która sprawiała, że niedawna superpotęga zaczęła przypominać Liban z lat 80.⁵²

⁵¹ P. Philips, *Media Democracy in Action. Censored 2004*, New York 2003, s. 43.

⁵² P. Jay, M. Steward, *Apocalypse 2000. Economic Breakdown and the Suicide of Democracy*, London 1987, s. 234.

Taka projekcja angielskich autorów, którą okrył już kurz, pokrywa się z obawami samych Amerykanów. Wedle wielu teoretyków hegemonia ma charakter organiczny, przeżywa się. Takie sugestie pojawiały się u L. Thurowa, F. Klingberga, czy u R. Sobela, którego teorie ocierają się o transcendencję. Wedle tego autora każdy okres ekstrawersji wynosił Stany Zjednoczone na wyższy poziom ekonomiczny i każdy trwał dokładnie 27 lat (od 1891 do 1918, od 1940 do 1967 i od 1988 do?). Natomiast okresy introwersji to lata między 1918-1940 i 1967-1988 i każdy z nich trwał 21 lat⁵³. Możemy więc, wierząc w magię liczb, mniemać, że Amerykanie wrócą do swego rzekomego izolacjonizmu w 2015 r. Takie pytania pojawiają się znowu w czasie, w którym ciężar misji zdaje się zbyt wielki i nie jest to ciężar finansowy, ale chodzi tu o wielkość ofiary ludzkiej, a także słabość wielkiej maszyny militarnej wobec zagrożeń asymetrycznych, które zaczęto zauważać zbyt późno. W walce z nimi na nic zda się najlepsza armia świata, one biorą się z innych źródeł i po to, by móc radzić sobie z nimi trzeba odkrywać te źródła. Jesteśmy przekonani, że nędza i wynikająca z niej desperacja będą rodziły nowe groźby i chyba tylko propozycje nowego ładu, szybko przenoszone w praktykę, są w stanie zmienić postać świata. Amerykanie muszą postarać się zrozumieć innych i inaczej niż dotąd pojąć swój święty obowiązek rozprzestrzeniania swoich wartości w świecie – tak uważał W.R. Mead⁵⁴. Dziś zachowują się jak Aleksander Wielki przypomniany przez N. Chomsky'ego. „Jak śmiesz terroryzować morza?” – spytał pojmanego pirata i usłyszał w odpowiedzi: „A jak ty śmiesz terroryzować świat?”⁵⁵.

Amerykanizacja z pewnością nie jest remedium na bolączki rodzące strach. Praktyka polityczna zdaje się potwierdzać, że amerykańska droga życia, amerykańska, „święta” demokracja jest właściwa tylko Stanom Zjednoczonym, a próby narzucania jej innym w takich formach, w jakich chcą je widzieć Amerykanie, nie mogą się powieść z wielu względów. One rodziły się w specyficznych warunkach, wymagają podglebia i długiej kultury, a takim podglebiem jest ekonomiczna stabilizacja i względny dobrobyt. Pokutująca wiara w zbawcze role nieskrępowanej przedsiębiorczości i wolnego rynku, w swoisty racjonalizm sił ekonomicznych zrodziła taką postać globalizacji, która stworzyła większe rozziewy między biednymi i bogatymi, a demokracja dla nędzarzy, z jej założycielskimi mitami równości, wolności i sprawiedliwości może zdać się drwiną bogatych.

Ameryka nie jest nowym Rzymem, jak widziało to wielu badaczy, niekiedy na siłę poszukujących takich łatwych porównań, choć podobno zbliża się do „wodnistej cezaryzmu”⁵⁶. Nie próbuje podbijać, zawłaszczając ziemie i ludzi, choć w propagowaniu swoich wartości najchętniej posługuje się zbrojnym ramieniem sądząc, iż siła jest

⁵³ R. Sobel, *The Impact of Public Opinion on US Foreign Policy since Vietnam*, Oxford 2001, s. 28.

⁵⁴ W. R. Mead, *Good's Country?*, „Foreign Affairs” nr 5, 2006, s. 24.

⁵⁵ N. Chomsky, *Pirates and Emperors. Old and New International Terrorism in the Real World*, London 2002, s. VII.

⁵⁶ G. F. Will, *Restoration. Congress, Term Limits and the Recovery of Deliberation Democracy*, New York 1993, s. 135.

lepsza niż metody pierwszych wizjonerów. Amerykanie nie potrafią zrozumieć tego, że hegemonia to nie tylko dominacja techniczna, ale i nowe, globalne idee, w tym takie, jakie przesądzały o krokach Stanów Zjednoczonych w niedalekiej przeszłości, idee Wilsona, Roosevelta. Być może w naszym czasie przybrała postać sekty, całą ją przesiąknęły moralne założenie sekt z ich bezwzględnym żądaniem świętości od innych, jej szaleństwem i obsesyjnością – jak widział to J. Baudrillard⁵⁷. Ale wiemy także o tym, że ta sekta często przejawiała prawdziwy altruizm i jest zdolna do wielkich poświęceń w imię swoich idei. Wydaje się, że w naszym czasie potrzeba jej nowego rewiwalizmu, nowej religijności, fermentu intelektualnego, a o taki niełatwo w postmodernistycznym zgiełku epoki informacyjnej. Choć wiadomo jak trudno wyrzucić stare wzory z wyobrażeń zbiorowych, chyba powinna inaczej określić się wobec bliskich i dalekich, a w swoją religię obywatelską implantować prawdziwy pryncypializm etyczny, który uczyni ją wiarygodną, także w oczach wrogów. Eskalacja misjonizmu doprowadziła przecież do krucjat i nie był to misjonizm monachicznych męczenników, ale Torquemady. Hegemon ma w naszym czasie moc czynienia dobra i zła i nie można nie dostrzegać, że w drodze do mitycznego dobra posługuje się coraz częściej i chętniej złem usprawiedliwiając takie kroki całym złem świata. Kulturowy narcyzm i wyrastający z niego misjonizm przyniosły tylko zawody i w części za sprawą misjonistów świat początku lat 90. stał się bardziej skomplikowany niż sądzili profeci.

Amerykanie wciąż powtarzają, że są wzorem dla świata, są „miastem na wzgórzu” i tylko oni poprowadzą ludzkość w kierunku spełnienia. Ale nie możemy zapominać o tym, że wysublimowane alegorie, symbolika, emfaticzna retoryka najczęściej służyły maskowaniu bardziej przyziemnych intencji, bo nie ulega wątpliwości, że interesy zawsze miały priorytet. Czasami można odnieść wrażenie, że misyjne argumenty pełnią tylko rolę sztafażu zasłaniając formy „dolarowej dyplomacji”, ale uderza niezmiennosc tych argumentów od czasów Winthropa, Whitefielda, Edwardsa, a także niezmiennie przywiązanie do nich wyznawców „amerykańskiej wiary”, którzy bronią ich obawiając się utraty tożsamości. Taka wiara jest integralną częścią amerykańskich nadziei długiego trwania i politycy czy ludzie interesu zapewne długo jeszcze będą rytualizować hasła misji, maskując nimi swoje prawdziwe intencje. Amerykańska wiara, ten „protestantyzm bez Boga, to świeckie *credo* narodu z duszą kościoła” – jak widział to S. Huntington⁵⁸.

Wielkie zbiorowe nadzieje, także na pokojowy misjonizm Ameryki, obudził nowy prezydent, dał krótki czas nadziei chyba wszystkim Amerykanom, ale Barack Obama nie będzie mógł sprzeniewierzyć się dogmatom „religii obywatelskiej”, ani nie skłoni establishmentu do radykalnych przewartościowań. Nie powinny dziwić następne krucjaty w imię pokoju i demokracji, jakie łatwo będzie usprawiedliwiać chaosem w wielu „państwach upadłych”. A jeśli jeszcze będą one traktowane jako remedia na

⁵⁷ J. Baudrillard, *Ameryka*, Warszawa 1998, s. 121.

⁵⁸ S.P. Huntington, *Who are We? The Challenges to America's National Identity*, New York 2004, s. 69.

kryzys ekonomiczny, a traktowane tak być mogą, podówczas nowy prezydent stać się może nowym krzyżowcem.

ABSTRACT

Americans have been expansionistic since their colonial beginnings, undertaking to impose submission on the interior for over two centuries. This expansionism proved to be an unusually strong binder for the society of the young state, assuming the shape of "Manifest Destiny" of President Polk and his successors. It usually served down-to-earth interests but was legitimized with ideas of great missions supposed to spread the perfect system created by the "nation of nations". The ideas of missions both in their peaceful and conquer form have become an integral part of the American "civil religion", ritualized by practically all its leaders. Missionism combined with expansionism was the dominant tendency which came to the foreground after 1989. The new hegemony gradually transformed into domination on the international scene, forcing other agents to adopt measures desirable for the neo-liberal establishment. The determining factor was the power of the military-industrial conglomerate, which was not to be underestimated, as today over 600 billion dollars are allotted to military demands. It also seems that President Barack Obama is fated to the practices of a crusader even though the hopes connected with him are hopes for a different, better world.